



Miłość
na wrzosowisku

Anna Łajkowska

DAVIDOS
romans

Anna Łajkowska

Miłość
na wrzosowisku



DAVIDOS
romans

Redakcja:
Anna Willman

Korekta:
Urszula Bańcerk

Skład:
ErGraf

Projekt okładki:
Marek J. Piwko

Zdjęcia na okładce:
Marc Kerk, Yurok

ISBN 978-83-7855-050-1

© copyright by wydawnictwo Damidos

DAMIDOS
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo Damidos
Al. Solidarności 115 lok. 2
00-140 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@damidos.com

Dystrybucja wersji papierowej:
TROY-DYSTRYBUCJA Sp. z o. o.

Oddział:
ul. Pionierów 39
41-711 Ruda Śląska
tel. 32 258 95 79
www.troy.net.pl

Konwesjsja do epub i mobi: Agencja Internetowa A3M

*Mojej siostrze Katarzynie Wośko,
która pierwsza uwierzyła
w „Pensjonat na wrzosowisku”*

Otwarcie

Haworth przywitało mnie z otwartymi ramionami i natychmiast wzięło w objęcia wiatru oraz deszczu. Choć był dopiero wrzesień, ponure niebo wisiało nad górzystym horyzontem, a chmury gnały szybko z zachodu na wschód. Przejmujące zimno nie zachęcało do wyjścia z domu, a tym bardziej do przeprowadzki.

A czekały nas dwie. Pierwsza z Ashford do Haworth, do jednego z tych nowszych budynków, zbudowanych już w XXI wieku u stóp zabytkowej Main Street, druga do naszego wymarzonego, upragnionego domu na jej szczycie. W dole rozciągał się park. Ten sam, w którym niemal rok temu doszło do wypadku. W górę prowadziły strome uliczki zbiegające się na niewielkim placu przy kościele. Tam, wśród chylących się od starości kamienic, stała ta jedna, jedyna – z kawiarnią na dole i niewielkim mieszkaniem na piętrze, przykuwająca wzrok wspianą elewacją z ciemnego, dobrze zaimpregnowanego drewna. To właśnie ona miała się stać inwestycją naszego życia, domem dla całej rodziny oraz miejscem pracy dla mnie i dla Marka.

Ponieważ wszystko wymagało gruntownego remontu, firma transportowa przewiozła większość naszych rzeczy do wynajętego apartamentu. Chciałam mieć przy sobie całą rodzinę, a jednocześnie doglądać prac w nowym domu. Szybko się przekonałam, że to nie będzie łatwe, ale starałam się tym nie zrażać. Wręcz przeciwnie: nowe wyzwanie dodało mi skrzydeł i sprawiło, że nagle życie nabrało rumieńców.

Marcin został zapisany do przedszkola, dziewczyny rozpoczęły naukę w tutejszej szkole, tylko Marek jeszcze przez kilka miesięcy miał zostać w Kencie.

Biedny Marek. Musiał się pogodzić z porażką i wielką – z jego punktu widzenia – niesprawiedliwością. Stanowisko, na które zasługiwał i którego podstawy tak naprawdę sam wypracował, przypadło w udziale komuś innemu, nowemu w firmie. Po raz pierwszy przekonaliśmy się, że jako Polacy nie mamy równych szans na Wyspach. Marek przegrał z Hindusem, a więc człowiekiem kształconym w ramach jednego wielkiego systemu, do którego należał dawny klejnot w koronie imperium brytyjskiego – Indie.

W tej sytuacji mój mąż uniósł się honorem i niemalże natychmiast zrezygnował z pracy. W swej naiwności sądził, że jego zwierzchnicy szybko pożałują nieawansowania oddanego pracownika. Czy tak się stało? Tego raczej się nie dowiemy. Nikt go nie zatrzymywał. Nikt nie wysłał nawet mejla. Znajomości ze współpracownikami były zbyt kruche i nie przetrwały próby rozstania. Marek musiał się pogodzić z tym, że swoją pierwszą pracę w Anglii stracił bezpowrotnie, i to właściwie na własne żądanie. Nowe zajęcie nie było nawet w połowie tak atrakcyjne, jak poprzednie, więc z ulgą przyjął wiadomość o możliwości przeniesienia się do Yorkshire. Zaskoczyło mnie to, bo wcześniej miał mnóstwo wątpliwości co do moich planów. Ja natomiast byłam pewna, że mi się uda. Myślę, że chciał się jakoś do tego przyczynić.

Zabrałam się z zapalem do pracy. Najpierw powstawały projekty przebudowy, remontu i renowacji starego domu. Wszystko jednocześnie, bo budynek był zabytkowy i trzeba było brać pod uwagę zdanie konserwatorów. Potem rozpoczęła się zabawa z firmami remontowymi. Praca Anglików była nie na moje nerwy. Choć nieustannie miałam ich na oku, marnowali materiał, źle wymierzając to deski, to listwy...

Wynajęcie polskiej ekipy, jakich przecież wiele kręciło się w tych okolicach, nie polepszyło sytuacji. Szybko się przekonałam, że być może moi rodacy są szanowanymi w całej Europie fachowcami, ale pracują bez zarzutu tylko dla obcych. Żałowałam, że przyznałam się do swojego pochodzenia. Pan Zenek znał się

na wszystkim: zakładał instalację, tynkował, przekładał parkiet i układał kafelki. Pomagali mu dwaj synowie. Znajomi Charoll, którzy go polecali, byli zachwyceni. Niestety, u „szefowej”, czyli u mnie, panowie pozwalali sobie na niedoróbki, nieprawdopodobnie przeklinali, a w dodatku zaczęli się przymawiać o polską wódkę. Zakończyłam współpracę przy pierwszej nadarzącej się okazji. Roboty zostały zawieszona na tydzień.

Charoll nie mogła zrozumieć takiego podejścia do robotników.

– Basiu, lepszych nie znajdziesz w całej okolicy. Powinnaś ich szanować. Masz szczęście, że nie narobili ci żadnych szkód na odchodnym. Nie masz pojęcia, do czego tacy ludzie są zdolni...

– Wybacz, Charoll – denerwowałam się. – To oni powinni mnie szanować. Mnie i moje pieniądze. Płaciłam im uczciwie i chciałam, żeby uczciwie robili swoje. Nic więcej. A wódka? Uwierz mi, że nie chodziło o symboliczny prezent. Mój tata jest budowlanym i opowiedziałby ci niejedną historię. W Polsce to się nigdy nie kończy. A oni już planowali zrobić sobie u mnie taką małą Polskę: ja, oni i wódka. Ten remont trwałby latami, ja płaciłabym kasę, oni by ją przepijali i tak w kółko. Ich żony nie zobaczyłyby pewnie złamanego funta.

Charoll poddała się.

– No dobrze – wzdychała – ale kogo teraz wynajmiesz?

– Słowaków albo Czechów. Dogadam się z nimi po swojemu, a oni wyremontują kawiarnię i mieszkanie, zrobią dobudówkę i taras, a na koniec pomogą wnieść meble na górę.

Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Słowacy byli dobrzy do czasu, a ja omal nie wpadłam w kłopoty...

Dom był pełen ludzi. Przyjechali moi rodzice, brat z bratową i oczywiście Marek. Mieli zostać na święta, ale wcześniej, 19 grud-

nia zorganizowałam przyjęcie w kawiarni w przeddzień jej oficjalnego otwarcia. Od rana robiłam ostatnie przygotowania. Prasowałam obrusy, czyściłam blaty, sprawdzałam zapasy kawy i herbaty i kilka razy dzwoniłam do Charoll, pytając o różne szczegóły.

Oprócz niej zaprosiłam starą Janett i Jamesa z żoną, a także najbliższych sąsiadów z rynku w Haworth: Ninę, właścicielkę sklepu z batystami, trzy dziewczyny ze Starej Apteki oraz pana Smitha, właściciela antykwariatu. Nie znałam ich zbyt dobrze, ale liczyłam na Charoll. Prosiłam ją zresztą o to, by jako osoba doświadczona w urządzaniu przyjęć wspierała mnie w obowiązkach gospodyni.

Około czternastej odebrałam zamówione ciastka, a do kawiarni wkroczyła rodzina z pozostałymi smakołykami przygotowanymi w domu. Zasapana mama i Marzena, moja bratowa, wniosły dumnie torty własnej roboty. Za nimi szedł tata, a za nim moje córki, Karolina i Kornelia, z sernikami z polskiego twarogu. Domowa pizza, zapiekanki ziemniaczane i pierogi czekały już na miejscu w gotowej jakimś cudem do użytku kuchni na piętrze. Marek został wyznaczony do opieki nad Marcinem i pilnowania, by w całym tym zamieszaniu nie zrobił sobie krzywdy. Tylko mój brat, Michał, został bez przydziału i świetnie się z tym czuł. Jako jedyny postanowił odpocząć podczas przerwy świątecznej i robił wszystko, by zrealizować ten plan. Było oczywiste, że mama i Marzena będą mi pomagały, choć niektórzy snuli za moimi plecami przypuszczenia, że i tak nie pozostawię nikomu pola do popisu.

Mylili się. Może kiedyś tak właśnie by było, dziś jednak na tyle bałam się porażki, że przyjmowałam z wdzięcznością każdą pomoc. Chciałam, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik, a potrawy starannie przygotowane i podane na czas. Poza tym musiałam zapanować nad sobą, zamaskować treść i tryskać humorem, by moje zdenerwowanie nie wpłynęło na atmosferę uroczystości.

– Basiu, dlaczego nie włączyłaś lodówek? – zapytała mama, gdy tylko zdjęła płaszcz i zajęła się ustawianiem tortów na stołach.

– Jak to nie włączyłam? Przecież od wczoraj mrozi się w nich lód do drinków.

Z niepokojem zbiegłam po schodach z dwiema paczkami bordowych serwetek. Wszystkie trzy lodówki stały w szeregu i na razie nie kryły nic cennego. Mleko czekało na zapleczu w nierozpakowanych kartonach, a zamrażarka na lody nie była jeszcze podłączona, bo dostawę zamówiłam dopiero na jutro. Otworzyłam pierwsze drzwiczki i od razu zauważyłam, że coś jest nie tak.

– Lodówki nie działają! – zawołałam rozpaczliwie do ojca, który właśnie się pojawił.

– Może nie ma prądu? – zainteresowała się Karolina.

– Jest. – Kornelia pstryknęła włącznik od stylowych kinkietów.

Tata zajrzał za lodówkę, a potem sprawdził skrzynkę z bezpiecznikami.

– Zapamiętaj, Basiu, zasadę numer jeden: urządzenia elektryczne działają lepiej, kiedy się je włączy do prądu – powiedział.

– A teraz zasada numer dwa: przeciążone bezpieczniki ten prąd wyłączają.

Dziewczyny zachichotały, a mama i Marzena wymieniły znaczące uśmiechy, bo znały nie od dziś popisowy wykład taty. Mnie on jakoś dzisiaj nie rozbawił.

– Coś z tym trzeba zrobić. Nie wyobrażam sobie, że te lodówki będą się co chwilę psuć.

– One się nie zepsuły! – Tata patrzył z politowaniem na swoje dorosłe dziecko. – Poproś swojego elektryka, żeby rzucił okiem na bezpieczniki. Chyba po prostu są przeciążone.

– Nie mam elektryka – westchnęłam ponuro. Mam tylko Zdenka i Radka.

– A tak, zapomniałem – uśmiechnął się tata pod nosem. – Czeski film: nikt nic nie wie.

– Tato... – Próbowałam zachować powagę, bo wszyscy już zaczęli dowcipkować na temat mojej czesko-słowackiej ekipy. Postanowiłam zadzwonić do Charoll.

– Tak, kochanie? Coś się stało? – zapytała.

– Na szczęście nie – rzuciłam nerwowo. – Znasz jakiegoś elektryka, który pomógłby mi z... no wiesz, tym, co rozłącza prąd w skrzynce.

Charoll zastanawiała się przez chwilę.

– Masz na myśli bezpieczniki?

– Chyba tak – powiedziałam, bo nie znałam odpowiedniego słowa. Wciąż jeszcze zdarzały mi się takie irytujące sytuacje.

– James może się tym zająć. Umów się z nim na jutro.

– Dziękuję ci bardzo. Do zobaczenia później.

No tak, James... Nie pomyślałam wcześniej o tym, że jeżeli pytam Charoll o pomoc, to jej odpowiedzią w większości przypadków będzie: James. Pamiętałam, ile różnych prac wykonywał w jej pensjonacie nawet w ciągu tych dwóch tygodni, gdy gościłam u niej w ubiegłym roku. Wciąż czułam, że mam wobec niego dług wdzięczności i nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym go prosić o coś jeszcze.

Do kawiarni wszedł Marek. Podbiegłam do niego, wzięłam pod rękę, zmuszając do kolejnego obchodu wszystkich pomieszczeń.

– Basiu, od wczoraj chyba nic się tu nie zmieniło, prawda?

– No, nie. Ale sprawdź jeszcze raz, czy wszystko jest w porządku. Zobacz, tu będziemy siedzieli. Złączyłam stoły, ale jutro przed otwarciem je rozstawię. Miałam kłopot z lodówkami, na szczęście to nic poważnego. Nie wiem, czy te ekspresy się sprawdzą. Może trzeba było kupić te pierwsze. Wydaje mi się, że były szybsze i łatwiejsze w obsłudze...

Objął mnie ramieniem, słuchając tego wszystkiego po raz setny. Sprawy związane z kawiarnią zajmowały połowę rozmów telefo-

nicznych między Yorkshire a Kentem i choć o wszystkim decydowałam ja, Marek zawsze wyrażał swoje zdanie.

Marek źle znosił fakt, że jego życie zawodowe potoczyło się w taki sposób. Obecnie był związany kontraktem z firmą, która nie płaciła mu zbyt wiele, nie motywowała do pracy. Czuł się zbędny. Został mu jeszcze miesiąc i chciał go wykorzystać na ostateczne zamknięcie spraw na południu i przeprowadzkę do nowego domu.

Szkoda tylko, że nie mógł uczestniczyć we wszystkich tych przygotowaniach. Wiedzieliśmy jednak, że nie możemy sobie pozwolić na przerwę w dopływie pieniędzy na życie. A zlecenia, nad którymi zamierzał pracować w domu, spływały na razie bardzo powoli i nie mogły przynieść natychmiastowego dochodu.

– Basiu, co robimy? – spytał wreszcie, gdy zorientował się, że mama i dziewczyny są zajęte nakrywaniem do stołów, a tata i Michał bawią się w najlepsze z Marcinem.

– Idziemy na górę – szepnęłam, prowadząc go na zaplecze, gdzie za antywłamaniową żaluzją strome schody wiodły do naszego prywatnego mieszkania. Szedł za mną, a ja czułam, że nie spuszcza ze mnie wzroku.

Hol na piętrze był połączony z dużą kuchnią. Wszystkie sprzęty, szafki i stół dla pięcioosobowej rodziny czekały już na swoich właścicieli, ale w pokojach królował jeszcze czesko-słowacki duet. Niektóre ściany były już pomalowane, na innych, na razie tylko otynkowanych, widoczne były ślady zmiany instalacji elektrycznej. W sypialni zgromadzono wszystkie wykładziny i narzędzia potrzebne do ich położenia.

– Zanim ekipa zacznie przybudówkę, tutaj już wszystko będzie gotowe i będziemy mogli się wprowadzać. A chłopaki zabiorą się za twój gabinet i wykończą taras.

– Oby ciebie przedtem nie wykończyli – westchnął Marek. – Mam wrażenie, że jesteś potwornie zmęczona.

– Bo jestem. I brakuje mi ciebie – szepnęłam, obejmując go w pasie i kładąc głowę na jego ramieniu. – Kiedy to się wreszcie skończy? Rzuć to wszystko w diabły i przyjeżdżaj.

– Wiesz, że nie mogę.

– Wiem...

Zaczęliśmy się całować, czule i spokojnie. Nie mieliśmy dotąd czasu, bo ciągle coś się działo. Od kiedy Marek przyjechał, bez przerwy załatwiał jakieś sprawy, a potem przyleciała moja rodzina. Robiłam mu wymówki, że nie namówił swoich bliskich na wizytę. Mogliby przecież zamieszkać tutaj – kuchnia gotowa, a gdyby pogonić ekipę, to może nawet wykładziny leżałyby już na miejscu. Pozostawała wprawdzie kwestia opieki nad babcią, ale Grześ z Iwoną na pewno coś by wymyślili. Marek przyznał, że faktycznie, mógł o tym pomyśleć. Z drugiej strony, nasze bratowe nie przepadały za sobą, więc może dobrze się stało. Na pewno doszłoby do jakiegoś spięcia przy wigilijnym stole albo podczas tej tutaj nerwówki.

Rozmyślając o tym wszystkim, zupełnie się wyłączyłam. Przypominały mi się kolejne etapy remontu, te mniej i te bardziej przyjemne chwile. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo brakowało mi Marka. Gdyby nie codzienne albo prawie codzienne rozmowy telefoniczne, nie dałabym rady...

– Marek, rzuć tę pracę i przyjeżdżaj do nas – powtórzyłam po raz kolejny tego dnia, odrywając się od jego ust i kładąc mu dłonie na ramionach.

– Nie mogę, przecież wiesz – wyszeptał, pochylając się do mojej szyi.

– Na pewno masz możliwość wypowiedzenia.

– Rozmawialiśmy już o tym, Basiu. Mam, ale nie chcę z niej skorzystać.

– Tęsknię za tobą.

– Ja też...

Usłyszeliśmy, że Marcin wchodzi na górę, więc musieliśmy przerwać naszą randkę i zająć się obowiązkami. Wkrótce mieli zacząć się schodzić goście.

Punktualnie o siedemnastej do kawiarni weszła Charoll. Miała na sobie sukienkę, co nie zdarzało jej się często. Świeżo ostrzyżone włosy były jaśniejsze niż ostatnio, ale twarz – pomimo lekkiego makijażu – wydała mi się nieco starsza. Charoll przyniosła swoje wypieki i wspaniałe wazon z kompozycją sztucznych kwiatów. Zdążyłam się już zorientować, że tego typu prezenty są tu dość popularne. Ludzie ustawiają je na eksponowanych miejscach w salonach, ale równie chętnie dekorują domy kwiatami ciętymi, które o wiele częściej niż Polacy kupują bez okazji – po prostu dla ozdoby. Podobało mi się, że tak dbają o estetykę i nie żałują na to pieniędzy. Z jakiegoś powodu miałam jednak nadzieję, że Charoll kupi mi coś bardziej osobistego.

Kiedy w drzwiach zobaczyłam Johna Smitha, poczułam pierwsze tego wieczoru wzruszenie. Był dla mnie wyjątkowym gościem, pewnie dlatego, że uosabiał wszystko, co w Anglii uważałam za egzotyczne: stare przedmioty, a szczególnie książki, którymi handlował, angielską flegmę, którą wyrażał całą swoją osobą i niezwyklej uprzejmość. W dodatku mówił językiem, jakby żywcem z „Sagi rodu Palliserów”. Pan Smith był ubrany w sztruksowe spodnie w miodowym kolorze, kamizelkę w kratę i marynarkę z grubego sukna z owalnymi łatami na rękawach. Przyniósł drewniane podpórki do książek. Witając się z nim, miałam niemalże łzy w oczach. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek w swoim domu będę gościła tak bardzo prawdziwego Anglika.

Po chwili przyszły trzy młode kobiety pracujące na zmianę w sklepie obok, zwanym Starą Apteką. Przed ponad stu laty Branwell Brontë kupował tu laudanum, żeby się nim narkotyzować, teraz była to stylowa drogeria, ale nazwa pozostała.

Najstarsza z dziewczyn, około trzydziestoletnia Gabrielle, miała na sobie dzinsy i koszulkę na ramiączkach. Aby zadać szyku, założyła kolorową biżuterię. Claudia przysłała w dzinsach i błyszczącej bluzce na cienkich ramiączkach, a Anna w bardzo krótkiej spódniczce i dżinsowej kamizelce. Z tym wszystkim nieźle wyglądała bransoletka z perełek nanizanych na ałtasową tasiemkę. Na pierwszy rzut oka dziewczyny były do siebie podobne – średniego wzrostu, szczupłe i zadbane, z jasnymi prostymi włosami. Dopiero po chwili zauważyłam, że włosy Gabrielle są bardziej rude niż blond, a Claudia nosi mnóstwo kolczyków, z czego tylko kilkanaście w uszach. Jeden tkwił w płatku nosa, jeden na języku i sama nie wiem, co mogło się kryć pod ubraniem. Anna była najskromniejsza z nich wszystkich i miała piękny uśmiech. Najmniej też mówiła. Moje sąsiadki wręczyły mi imponujący, ozdobiony kwiatami i wstążkami kosz owoców, który od razu postawiłam na środku stołu.

Jako następna pojawiła się Nina, eteryczna właścicielka sklepu z batystami. Zwykle ubierała się w długie powłóczyste suknie, co w połączeniu z jej szczupłą sylwetką i rozwianymi włosami dawało interesujący efekt. Tego dnia założyła liliową, lnianą suknię, niewiele się różniącą od eleganckich koszul nocnych, jakie często podziwiałam na wystawie jej sklepu. Dostałam od niej komplet prześlicznych płóciennych serwetek z delikatnymi gałązkami lawendy wyhaftowanymi w rogach. Biorąc je do ręki, poczułam charakterystyczny zapach kwiatów.

– Dziękuję, to przepiękny prezent. Muszę ci powiedzieć, że uwielbiam twój sklep od pierwszego wejrzenia – powiedziałam. – Dzięki niemu rynek nabiera charakteru.

– O, jesteś zbyt łaskawa, Basiu – odpowiedziała, mrużąc błękitne oczy. – To tylko sklep z tym, co lubię najbardziej: z pięknymi i delikatnymi przedmiotami. Nic więcej.

– Cieszę się w takim razie, że lubisz właśnie takie rzeczy. Dzięki tobie nasza ulica jest ładniejsza.

Podeszliśmy do Charoll i przedstawiłam jej swoją sąsiadkę. Gdy się odwróciłam, Marek witał się z wchodzącą właśnie parą. W mężczyźnie w jasnych spodniach i czarnej, wypuszczonej na nie koszuli rozpoznałam od razu Jamesa Altona. Wysoka, bardzo szczupła kobieta u jego boku musiała być jego żoną. Nie widziałam Jamesa od wielu miesięcy. Gdy na mnie spojrział z daleka, a ja pochwyciłam to spojrzenie, poczułam, że ten mężczyzna nigdy nie był mi obojętny. Od kiedy pierwszy raz zobaczyłam go schodzącego ze wzgórza.

– Hej, witajcie – zawołałam, stając obok Marka. Nastąpiła prezentacja, której dokonał James.

– Basiu, to Fiona – powiedział miękkim głosem. – A to Basia i Marek, o których ci opowiadałem – zwrócił się do żony.

Podaliśmy sobie dłonie w określonej kolejności, lecz miałam wrażenie, że coś poszło nie tak. Czasem mi się to myliło, ale tym razem byłam prawie pewna, że osobie bliższej przedstawia się dalszą. James zrobił odwrotnie. Celowo, przez przypadek czy odruchowo. Nie było czasu na zastanawianie się. Zaprosiłam wszystkich do stolika, na którym stały kieliszki, a Marek nalał szampana i wygłosił po angielsku krótką mowę:

– Dziękuję, że przyszlście na naszą skromną uroczystość. Jutro spełni się marzenie mojej żony: pierwsi klienci jej własnej kawiarni wejdą tymi drzwiami, usiądą na przygotowanych przez nią fotelach i krzesłach i złożą zamówienia. Ona będzie z niepokojem spoglądała w ich twarze, aby wyczytać reakcję na to, co ma im do zaoferowania. Wieczorem wróci zmęczona do domu i – o ile ją znam – podsumuje swoje spostrzeżenia, wyciągnie wnioski, by następny dzień był lepszy. I tak już będzie. Boję się, że stracę żonę, bo Basia angażuje się całkowicie we wszystko, co robi. Więc choć właściwie, dla swego dobra, nie powinienem, życzę jej powodzenia. Basiu, za ciebie i twoją kawiarnię.

Uniósł kieliszek i uśmiechnął się. Wszyscy poszli w jego ślady, wygłaszając toasty. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nagle zrobiło się tak uroczyście... Poczułam, że muszę się dopasować do tego nastroju. Spojrzałam na tych ludzi. Wiele par oczu wpatrzonych we mnie. Wszystkie twarze przyjaźnie uśmiechnięte, choć przecież w większości obce...

– To bardzo dziwne – rozpoczęłam – słyszeć, jak mąż zwraca się do mnie po angielsku. Bardzo dziwne mówić do was tak oficjalnie jak do premiera i rządu... A tymczasem to tylko mały krok na drodze, która przyprowadziła nas tutaj z Polski. Kiedy rozmawiałam kilka dni temu z mamą, powiedziała, że nie ma pojęcia, jak to się mogło stać, dlaczego tu zamieszkaliśmy, dlaczego chcemy tu zostać, i to prawdopodobnie na zawsze. Nie potrafiłam jej odpowiedzieć. To chyba przeznaczenie. Dlatego dziękuję ci, Marku, że zgodziłeś się wtedy na te niefortunne wakacje. Dziękuję, Charoll, za niezwykle przyjęcie i pomoc, jaką okazałaś mi rok temu po wypadku. Dziękuję moim córkom i synowi za cierpliwość, troskę i pomoc, tacie za ogromne zaangażowanie na etapie ekspertyz i projektów, a tobie, James, za przypilnowanie tych wszystkich formalności, bez których po prostu nie miałabym dość pieniędzy, aby marzyć o własnej kawiarni. Mam nadzieję, że jak najczęściej będziemy się spotykali w tym gronie. Zdrowie moich pierwszych gości!

Wszyscy podnieśli kieliszki i wypili nieco szampana. Potem po kolei podchodzili do mnie z życzeniami, których większości, niestety, nie zapamiętałam. Kątem oka widziałam, że mama, wyraźnie wzruszona, wycofała się za bar, udając, że Marcin domaga się jej uwagi. Tata wędrował tam i z powrotem, przyglądając się uważnie tapetom, jakby nagle zobaczył na nich coś niezwykłego. Karolina i Kornelia, za podszeptem Charoll, krążyły wśród gości z półmiskami przekąsek. James podszedł sam i trącił kieliszkiem

o mój. Speszona jego obecnością nie byłam w stanie się odezwać. Przyjęcie potoczyło się własnym torem.

Miałam spore oczekiwania co do tego wieczoru. Przede wszystkim chciałam poznać nowych sąsiadów, zamienić z każdym choćby po parę słów. Wiedziałam, że okazji do spotkań będzie jeszcze wiele – zawsze przecież znajdzie się chwila na wyjście przed kawiarnię i pogawędkę. Chciałam po prostu przełamać pierwsze lody i chciałam, żeby stało się to u mnie, na moim gruncie, aby byli moimi gośćmi.

Nie spodziewałam się jednak, że oficjalne otwarcie kawiarni, te wszystkie powitania i przemowy tak mnie wytrąca z równowagi. Czułam, że zaraz się rozplączę. Odpowiadałam półsłówkami, uśmiechałam się szeroko, ale nie umiałam nawiązać z nikim sensownej rozmowy. W dodatku, krążąc wśród gości, nieuchronnie zbliżałam się do Fiony, której obecność działała na mnie deprymująco. Pewna siebie, wyższa ode mnie o głowę, mówiąca z silnym akcentem z Yorkshire, w swojej koszulce na ramiączkach i spódniczce w panterkę wydała mi się wręcz wyzywająca. Wzorzyste rajstopy na chudych nogach wyglądały dziwnie.

Normalnie zazdroszczę kobietom takiej sylwetki, szczupłych ud, niezbyt zaokrąglonych bioder. Cokolwiek na siebie włożą, wyglądają rewelacyjnie. Teraz jednak stwierdziłam, że figura to nie wszystko. Trzeba jeszcze mieć gust, no i odrobinę samokrytycyzmu. Akurat ja tego ostatniego sama miałam aż nadto. Nie byłam wprawdzie tęga, ale różne krągłości tu i ówdzie sprawiały, że w sklepie spędzałam mnóstwo czasu w przymierzalni, kontrolując wygląd każdego centymetra ciała odzianego w nowy strój. Nie zakładałam nic kontrowersyjnego, nawet tu, w Anglii, gdzie w kwestii doboru ciuchów panowała o wiele większa swoboda.

A Fiona nie spodobała mi się, i tyle. Była zbyt ekspansywna, zaborcza, wydawała się wręcz niebezpieczna. Nawet obserwując ją z daleka, odniosłam wrażenie, że nie jest to osoba, z którą mo-

głabym się zaprzyjaźnić, ale jeszcze bardziej nie chciałabym mieć w niej wroga.

Podeszłam, gdy rozmawiała z Charoll.

– Jak się bawicie? – zapytałam w nadziei, że przyjaciółka przejmie inicjatywę.

– Rozmawiamy o małej Amy – powiedziała Fiona, odwracając się do mnie.

– Właśnie, co tam u niej? – podchwyciłam. – Pewnie urosła.

– Jasne, jest wspaniała. Ma już dziesięć miesięcy i od tygodnia sama chodzi – pochwaliła się Fiona.

– Musicie być z niej bardzo dumni – dodała uprzejmie Charoll. – A jak starsza córka?

Fiona uśmiechnęła się pod nosem i oznajmiła, że córka wyprowadziła się do swojej babci, matki Fiony, ponieważ nie mogli się dogadać z Jamesem.

Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam. Miałam wprawdzie dorastające córki, ale coś takiego było dla mnie nie do przyjęcia. Postanowiłam pogadać o tym z Charoll przy najbliższej okazji.

Pytałam Charoll o wszystko, zwłaszcza gdy dotyczyło to Anglików: ich kultury, zachowania, zwyczajów... Teraz jeszcze zaciękały mnie jej relacje z sąsiadką. James mocno się angażował w życie pensjonatu Charoll, więc byłam przekonana, że Fiona jest jej bliską znajomą i, jeżeli nawet nie przyjaźnią się, to przynajmniej dobrze znają. Tymczasem wyglądało na to, że panie nie utrzymują bliższych kontaktów. Postanowiłam to zbadać przy najbliższym spotkaniu z Charoll.

Przyjęcie inauguracyjne powoli dobiegało końca. Zrobiło się późno, stoły opustoszały, a ja ciągle jeszcze nie poprosiłam Jamesa o konsultację w palącej kwestii bezpieczników. Jak zwykle z pomocą przyszła mi Charoll.

– I co, umówiłaś się już z Jamesem? – zapytała, gdy stanęliśmy wszyscy troje dość blisko, aby nawiązać rozmowę.

Oblał mnie zimny pot, na szczęście uświadomiłam sobie, że chodzi o lodówki. Odwróciłam się w stronę uśmiechniętego mężczyzny i, trochę speszona, wyjaśniłam, z czym mam problem. Charoll dołała nam wina i przysłuchiwała się rozmowie. Wreszcie dołączyli Marek i tata. Naturalną kolejną rzeczą było przeprowadzenie ekspertyzy w męskim gronie, więc udali się na zaplecze. James sprawdzał dokładnie wszystkie podłączenia, otwierał i zamykał lodówki, za pośrednictwem Marka wymieniał fachowe uwagi z tatą, a w końcu podszedł do mnie i wyjaśnił, co nie działa i dlaczego.

– Czesi odstawili fuszerkę – dodał Marek – jutro będą musieli poprawić to, co spartaczyli. James poinstruował mnie szczegółowo, co mam im przekazać.

– Ale na wszelki wypadek zapiszę wam mój telefon – uśmiechnął się James, sięgając po serwetkę i ołówek, który znalazł na ladzie. Do tej pory nie było powodu, by wymieniać się numerami telefonów z sąsiadem Charoll. Teraz bezceremonialnie wręczył mi kawałek papieru, który już do końca imprezy trzymałam w dłoni.